



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)



LALKI CHIŃSKIE.

W Chinach panuje zwyczaj upiększania ogrodów oryginalnymi kwietnikami, które zdaniem podróżników bardzo ozdobnie wyglądają. Na drucianym szkielecie, Chińczycy osadzają głowę mandaryna lub chińskiej damy, ulepioną z pomalowanej gliny, dodają przytem także ręce i nogi, i całą lalkę osadzają w dużym wazonie obsianym pnąciami roślinami. Rośliny te pokrywając cały druciany szkielet, tworzą kwitnącą lalkę tem piękniejszą, im więcej rozmaitych roślin zasiano w wazonie. Naturalnie, że głowa, ręce i nogi uwolnione są od roślinnej powłoki.

Szereg wapniowców nie był tak długi jak kamieni i ziem. Z kolei herold obwieścił **sole**, wołając :

— Szlachetna ta grupa tem się odznacza, że ciała do niej należące są po większej części bezbarwne i łatwo się proszkują, a proszek jest białej barwy. Wszystkie rozpuszczają się w wodzie lub w kwasach, i parując z wody osadzają się w postaci kryształów. Posiadają smak, nie palą się i mają wiele cech wspólnych.

Najprzód ukazała się w olbrzymich bryłach **sól kuchenna**, za nią **soda**.

— Azbeście — odezwałem się — zawsze byłem ciekawy co to jest owa soda, nadająca wodzie w połączeniu z kwasem tak wyborny smak i która ją wzburza niby pieniające się wino szampańskie. Z czego się ona otrzymuje?

— Naturalna osadza się na dnie i na brzegach jezior gorzkich, w szczelinach skał, ale tak jój bywa mało, że dobywanie jój nie opłaciłoby się. Otrzymują więc ją fabrycznie z pewnego minerału. Ale patrz, czy widzisz te szarawo zielonawe bryły? To **saletra**, zupełnie podobna do soli kuchennej. Znajduje się ona w ziemi, w pokładach, jak i sól, tylko nie w takiej znacznej obfitości. A na tym oto wozie **połaż**, tak potrzebny do mydła.

— Czy on także dobywa się z ziemi?

— Nie, otrzymuje się z popiołów roślinnych.

— Ach, cóż to za przesłizne bryły zielone wiozą! Co to jest? czy to marmur?

— Marmury już dawno przejechały w oddziale wapniowców, to jest **malachit**.

— Malachit? ten z którego wyrabiają klejuoty i sprzęty zbytkowe? Widziałem raz stolik malachitowy. Cóż tu robi malachit między solami?

— Bo i on jest także solą.

— I rozpuszcza się w kwasach jak i inne sole?

— Rozpuszcza?

— To gdyby jaki figlarz się uparł, mógłby ze stolika zrobić zupe, a przynajmniej sos!

— Zapewne, tylko że niktby jęj nie strawił. Ale patrz, czy widzisz tę sól przepysznego zielonego koloru, podobną do szmaragdów? Straszna to piękność i trzeba od niej trzymać się zdaleka: to jest *grynszpan*, okropna trucizna!

Posel chiński odezwał się do swego amerykańskiego kolegi, że teraz pójdzie grupa najciekawsza metali, co też potwierdził herold, wygłaszając:

— Szlachetna grupa metali tem się odznacza, że wszystkie należące do niej ciała mają właściwy, zwany metalicznym połysk; że nie mają smaku ani zapachu, nie rozpuszczają się w wodzie nie palą się w ogniu, ale się w nim topią. Giętkie, kowalne, ciągliwe, są dobrymi przewodnikami ciepła.

Teraz trzeba było aż oczy zasłaniać od wielkiego blasku jaki był z pierwszego wozu na którym wieziono *złoto* w grudkach lub kryształach, tak jak je w ziemi znajdują, a także i w sztabach; z drugiego, na którym jechała droższa od złota *platyna*; wreszcie z trzeciego gdzie znajdowało się *srebro*. Dalej widziałem wielkie czerwone bryły na powierzchni których tkwiły błyszczące perły.

— Co to jest? — spytałem Azbesta.

— To *rtęć* na cynobrze, ślicznym czerwonym mineralu — odpowiedział — bo tak bywa często znajdowana w ziemi.

Na innym wozie widziałem *miedź* w sztabach i rudach, czyli tak zwany piryt miedziany; na innym jeszcze *żelazo*, którego rudy w trzech były gatunkach: ruda magnetyczna, tak nazwana z przyczyny że posiada własność magnesu, piryt czyli siarek żelaza i ruda błotna zwana limonitem. Wszystkie różniły się od siebie zabarwieniem. Było też żelazo w meteorytach, a Azbest objaśnił mi, że tylko w nich metal ten znajduje się w stanie czystym.

— Słyszałem nieraz o spadających na ziemię meteorytach — odezwał się znowu — ale nie chce mi się wierzyć, aby to co mówią o nich, było prawdą. Czy podobna aby Pan Bóg ciskał z nieba na ziemię kamieniami?

— Naturalnie że nie. Meteoryty są to odłamki drobnych ciał niebieskich, które wskutek jakiejś katastrofy rozpadły się, a przyciągane przez ziemię, spadają na nią.

— Czy z ziemi naszej odłamki także na inne planety spadają?

— Nie, bo ziemia nasza posiada tak silną własność przyciągania, że wszystkie przedmioty w górę wyrzucone, napowrót ku sobie ściągają.

— Ja raz widziałem meteor świetnym gorejący blaskiem. Powiedz mi Azbeście, dla czego on tak świecił, kiedy te oto leżące na wozie są zupełnie ciemne?

— Bo już wystygły. Meteoryty zanim spadną na ziemię, muszą przebieść przez grubą warstwę powietrza, a trąc się o nią rozgrzewają się tak silnie, że ośniewający blask wydają. Patrz, oto jedzie piękny *błyszcz ołowiany*, wyglądający jak srebro, tuż za nim *cyna* w rudach, która wielką oddaje nam przysługę, bo pobielając rądle, chroni nasze pokarmy od trucizny grynszpanowej, wydzielającej się z miedzi przy działaniu kwasów.

Dalej jeszcze widziałem rudę *cynku* czyli galman, za którym ciągnęły się jeszcze inne mniej znane metale, jakich już wymieniać nie będę, i herold obwieścił zbliżanie się nowej grupy, *ciał palnych*, wychwalając je wedle swego zwyczaju:

— Szlachetne te ciała wszystkie palą się w ogniu; ogrzewane w zamkniętym naczyniu, rozkładają się; wszystkie się utworzyły ze szczątków dawnych roślin, lub zwierząt, są bezkształtne i nie rozpuszczają się w wodzie.

Na czele ukazała się w szklanym rezerwoarze *nafta*, wydzielająca przykry charakterystyczny zapach, a za nią *asfalt*. Wiedziałem że materyał ten używa się na bruki, a teraz od Azbesta dowiedziałem się, że znajduje się on w ziemi, w szczelinach skał, gdzie tworzy nawet stalaktyty i że jest produktem który wydzielił się z roślin jako smoła — podczas gdy tworzył się z nich węgiel kamienny — i potem

stwardniał na powietrzu. Podobno wielkie jego ilości pływają po morzu Martwym w Palestynie. Dalej wieziono przepyszne *bursztyny*, *torf*, *węgiel brunatny*, *węgiel kamienny* i najtwardszy, a zarazem najdawniejszy gatunek węgla, *autracyt*.

Nie widziałem już więcej wozów, czyżby to był koniec pochodu królestwa minerałów? Ale nie, herold zawołał.

— **Woda**, szlachetny płyn, który gasi pragnienie, utrzymuje wszelkie życie na ziemi i wchodzi w skład wszystkich bez wyjątku ciał organicznych!

— Czyż woda jest minerałem? — zapytałem.

— Wszystko co nie jest rośliną lub zwierzęciem, do minerałów się zalicza.

Ujrzałem postać niewieścią przecudnej urody, w szatach białych a tak lekkich i delikatnych, jak gdyby były ze mgły porannej utkane. Niosła wodę w kryształowym naczyniu a nad głową jęj unosiła się tęcza. Gdy wyraziłem mój podziw nad pięknnością tego zjawiska, Azbest szepnął mi że to co teraz zobaczę, będzie jeszcze piękniejsze.

— A cóż ja jeszcze zobaczę? — spytałem.

— **Ciała lotne?**

— Czyż można ująć to, co jest lotnem?

— Zaraz się o tem przekonasz.

Herold wołał.

— Szlachetne te ciała są najłżejsze między minerałami, nie mają żadnego kształtu i bardzo łatwo rozpraszają się w powietrzu. Utrzymać je można tylko w naczyniach szczelnie zamkniętych.

Spojrzałem w stronę z kąd ciągnął pochód i ujrzałem szereg postaci. Niosły one kryształowe naczynia i miały pozor kapłanów idących spełnić tajemnicze obrzędy. Na czele szli dwaj ludzie w szatach blado niebieskich, niby dwaj bracia połączeni szarfą, na której wyszyty był napis powietrze. Szklane ich naczynia, szczelnie były zamknięte: w jednym widzieliśmy fruwającego paszka, w drugim zapaloną świecę.

— Co to znaczy? — spytałem — czy będziemy świadkami jakich czarodziejskich praktyk? Po co takie zwyczajne rzeczy niosą z taką ceremonią?

Azbest uśmiechnął się.

— Czytałeś napis na szarfie łączącej tych ludzi? — zapytał.

— Czytałem.

— W naczyniach tych — objaśnił — królewicz Kryształek chciał przedstawić dwie główne własności powietrza, mianowicie: że podtrzymuje oddychanie i palenie.

— Ale na cóż to nieść w naczyniach kiedy naokoło mamy pełno ptaków fruwających w powietrzu.

— To jest potrzebne dla całości pochodu.

Za nimi postępowali znowu dwaj ludzie w szatach tej samej barwy z fantazyjnymi głów nakryciami, na których były napisy: *azot* i *tlen*.

— To są części składowe powietrza — rzekł Azbest — a zadaniem tych ludzi jest uzmysłwić jak najwidoczniej własność niesionych gazów.

Ten, którego od jego napisu nazywałem tlenem, trzymał dużą, szklaną, szczelnie zamkniętą czarę, w której paliła się sprężyna żelazna jasnym, świetnym płomieniem, z trzaskiem rozrzucając iskry dokoła.

— Sprężyna żelazna nie płonie w zwykłym powietrzu, pali się jednak w samym tlenie — powiedział Azbest — do wód to w jak wysokim stopniu gaz ten podtrzymuje palenie.

— Można więc te gazy oddzielić?

— Można.

— Ale dla czego ten drugi niesie puste naczynie? Pod szkłem jego czary nic nie widzę.

— Jeżeli nic nie widzimy, nie powinniśmy jednak twierdzić że nic niema. Na pozór się tylko zdaje że czara jest pusta, ale tam jest gaz zwany azotem. Rola jego w powietrzu jest taka, że osłabia zbyt gwałtowne działanie tlenu na organizmy zwierzęce i roślinne.

— A cóżby się stało gdyby nie spełniał tej czynności?

— Oddychanie byłoby nazbyt pobudzone, żylibyśmy jak

w gorączce i wkrótce ze zbytniego wysilenia zmarniałyby wszystko na świecie: to jest my, i zwierzęta i rośliny. Gdyby na przykład w tej chwili kto nam tu czystego tlenu napuścił, zaczęlibyśmy nie tylko prędkiej oddychać, ale prędko i głośno mówić, śmiać się a może nawet kłócić.

Teraz przypomniało mi się, że ja już wiedziałem coś o własnościach tego gazu. Czytałem kiedyś powieść Juliusza Verne'a p. t. *Fantazyja doktora Ox*. Treść powieści była taka, że uczony, żywym temperamentem obdarzony doktor, przybył do miasteczka, gdzie żyli ludzie o temperamentcie nazbyt powolnym. Nie mogąc między nimi wytrzymać z nudów, napuścił im tlenu i tak ich rozruszał, że wywołał w mieście prawdziwą rewolucję. Polecam tę zajmującą książkę czytelnikom *Wieczorów* jeżeli jej jeszcze nie czytali. Nigdy jednak pojąć nie mogłem, aby gazy unoszące się w powietrzu można pochwyć i uwięzić. Powiedziałem to Azbestowi.

— Są na to sposoby — odparł — w ostatnich nawet czasach udało się uczynym wszystkie gazy skroplić, a jednym ze słynnych z tego powodu, był polak Wróblewski.

Teraz ujrzałem człowieka z naczyniem, z którego przez rurkę szklaną wychodził bezbarwny prawie, blado fioletowy płomień, a na jego nakryciu głowy błyszczał napis: *wodor*.

— Wodor i tlen są częściami składowymi wody — szepnął mi Azbest.

Za nim niesiono *chlor*. Było to naczynie napełnione gazem bardzo ładnym, zielonawym, ze złotym odbłaskiem. Przypadkiem korek zatykający naczynie uchylił się, i dała się czuć ostra, przykra, dusząca woń tego gazu. Zrobiło się między widzami wielkie zamieszanie. Konie gwardzistów zaczęły parskać, damy kaszleć gwałtownie i poruszać chustkami. Ale spostrzeżono natychmiast przyczynę i zaradzono złemu zatykając szczelnie otwór.

— Patrz — rzekł Azbest — oto niosą gaz który cię bardzo zajmie, bo lubisz wodę sodową, *kwasy węglany*.

Zobaczyłem że niesiono otwarte naczynie z wodą, z której ów kwas wydzielał się w pęcherzykach.

— Jakim sposobem kwas ten znalazł się w tej wodzie? — spytałem.

— Włoczony został w wodę z której teraz uchodzi. Uczyniono to dla uwydatnienia go; tam dalej idzie *gaz oświe*.
tlający.

— Spojrzałem — niesiono naczynie metalowe opatrzone rurką z palnikiem, z którego wychodzący gaz palił się świetnym, jasnym płomieniem. Zapytałem Azbesta dlaczego wodor palił się tak blado i bezbarwnie, a gaz oświetlający goreje tak jasno.

— Bo cząsteczki węgla zawarte w tym gazie unoszą się w płomieniu i żarzą się, podczas gdy w wodorze ich niema — odpowiedział.

— A to co znaczy? — zapytałem, wskazując człowieka który postępował z wolna, trzymając w jednej ręce otwarte naczynie napełnione czarnym gęstym błotem, a w drugiej pałeczkę drewnianą i ciągle nią owo błoto poruszał przez co dobywały się z błota pęcherzyki gazu jakiegoś. Idący przy nim pacholek z zapalonym lontem, przybliżał go do każdego ulatującego pęcherzyka, a te zapalały się jasnym płomieniem, wydając za każdą razą odgłos, jakby maleńkiego wybuchu.

— Przeczytaj napis na jego głowie a będziesz wiedział.

Wychyliłem się i przeczytałem: *gaz błotny* — a Azbest rzekł.

— Powstaje on z rozkładu ciał roślinnych i zwierzęcych, które się w każdym błocie znajdują.

— To więc są owe błędne ogniki widywane na cementarzach?

— Te same, szczególnie gdy są pomieszane z fosfowodorem, także na cementarzach powstającym.

Nie pytałem o więcej, patrzyłem w milczeniu na dalszy ciąg pochodu, bo jak już mówiłem, żadna z siedmiu grup minerałów nie ograniczała się na tych tylko przedmiotach o których tu wspominałem. Kamienie, ziemię i metale, można by-

ło liczyć na setki, bo samych drogich kamieni była niesłychała różnorodność; wapniowce, sole, ciała palne i lotne, na dziesiątki. Aż oczy bolały od patrzenia na te wszystkie barwy, blaski i ognie.

Skończył się nareszcie pochód minerałów, wozy i ludzie zajęli miejsce po prawej stronie wzgórza, a z lewej wysuwał się powoli las ruchomy, istna otchłań zieleności i najświetniejszych barw — królestwo roślin gotujące się z powiewającymi zdala sztandarami do pochodu. Azbesta odwołano do królewicza Kryszałka, ale na jego miejscu przy parapecie łoży stanął Viola.

— Myślałem że rośliny będą na ostatku — rzekłem do niego.

— To byłoby przeciwne porządkowi natury — odpowiedział — po minerałach na świecie pojawiły się rośliny, aby zwierzęta które miały przyjść później, nie pomarły z głodu.

— Milordzie — przemówiłem, zwracając się do lorda Schockinga, mego sąsiada — przyznaj pan że obraz jaki się przesunął przed naszymi oczyma, był bardzo piękny.

— Tak — odrzekł ziewnąwszy zlekka — piękny i nawet oryginalny, bo nic podobnego nie zdarza się widzieć w żadnym kraju; ale wolałbym trzęsienie ziemi, bo dałoby mi jakieś wzruszenie, a to com widział nie wzruszyło mnie wcale, jak i nic oddawna. Ja zaś życie bez wrażeń uważam za nic i wyobrażam sobie że już umarłem. Ale czy to Atlanta dobędzie się na coś porządnego! Kolega szczęśliwy jesteś że nie chorujesz na spleen.

Mówił coś jeszcze, ale nie dosłyszałem go, bo oto na plac wyjechał herold cały przystrojony w zieleń i kwiaty, z chorągwią na której błyszczała biała róża w czerwonym polu i obwieścił, że z woli Jego Królewiczowskiej Mości Zielonki, z pozwoleniem Najjaśniejszego Króla Bożydara, odbędzie się pochód roślin; że będą dwie wielkie grupy: *Skrytokwiatowych* i *Jawnokwiatowych*, a skrytokwiatowe pójdą pierwsze. Odnaczają się one tem że kwiatów widocznych nie mają.

Tu na dany znak przez Zielonkę ruchomy las zaczął się przybliżać i zabrzmiał śpiew.

CHÓR ZIELONKI.

Witaj, witaj, witaj!

Lud mówi że dobroć twa królu bez miary,
Ze jak dąb, rozciągasz nad nim swe konary,
I dajesz w twym cieniu bezpieczne posłanie.
Więc w roślin królestwie pozdrowion bądź panie!
Witaj, witaj, witaj!

Ludzie użyci do tego pochodu ubrani byli zielono. Nieśli oni *wodorosty*, podobne do włosów lub cieniutkich nitczki w szklanych naczyniach z wodą; *porosty* w kształcie szarych, zielonych, żółtych, czerwonych plam na korze drzew i na kamieniach. *Grzyby* w różnych gatunkach: jadalne brunatne, trujące czerwone i żółte muchomory, świńskie uszy i purchawki kuliste, z których ulatywał pyłek nasienny wyglądający jak dymek. Nieśli wielkie kobierce z najpiękniejszych i najmniejszych gatunków *mchów* utkane, i do mchów niektórych podobne *widlaki*, widelkowato na końcach rozdwojone, których widok przypominał mi przybieranie u nas temi roślinami stołów na Wielkanoc. Dalej szły *skrzyppy*, jedne wyglądające jak małe jodelki z krainy lalek, a drugie jak proste, twardo sterzące zielone pręty — wreszcie *paprocie* z przepyszniemi w najróżnorodniejszych wzorach koronkowemi liśćmi, jako mniejsze i większe krzaczki i jako wielkie do palm podobne drzewa z Brazylji pochodzące.

Na tem kończyły się skrytokwiatowe. Herold wystąpił znowu i obwieścił że teraz kolej na *Jawnokwiatowe*, które pójdą w trzech oddziałach, najprzód wieloliściennne, potem jednoliściennne, a na koniec dwuliściennne i dodał.

— Szlachetny oddział wieloliściennnych dla tego nosi tę nazwę, że rośliny do niego należące wschodzą kilkoma liściami; miewają ich siedm do ośmiu.

I słusznie herold użył tu przydomku „szlachetny” — bo był to prawdziwy las drzew wspaniałych, niesiony przez silnych, dorodnych, wysokiego wzrostu krajowców: najróżnoro-

dniejsze drzewa *iglaste*: sosny, jodły, świerki, modrzewie, cisy, limby, kosodrzewina, cyprysy, thuje, jałowce, z których większość złotemi obwieszona była szyszkami. W powietrzu rozszła się balsamiczna woń żywicy.

Herold znowu wygłosił.

— Teraz pójdzie szlachetny oddział **jednoliściennych**, które znów odznaczają się tem, że jednym tylko liścieniem wschodzą.

Ukazały się tedy owe jednoliścienne, a przodowała im cała wielka rodzina *traw* różnych barw i kształtów, niesiona przez małe, zielono ubrane pacholeta—przez co pochod tój rodziny wyglądał jak bujna, od wiatru kołysząca się łąka. Oprócz traw pospolitych, widziałem złote, srebrne i różowe pióropusze traw pampasowych amerykańskich, których hrabia Lilium użył do ozdoby lektyki gdy jechaliśmy na turnieje. Za niemi trzciny różne, proso, ryż i wszelkie zboża, ale te ostatnie nieśli w sno-

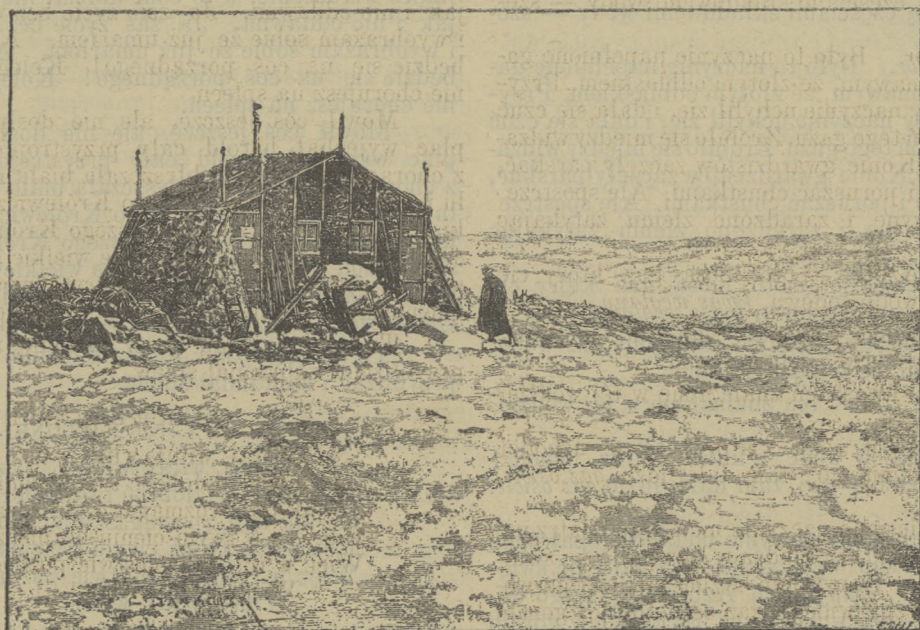
Na tem się skończył ten dział. Herold obwieścił **dwuliścienne**, objaśniając że wschodzą dwoma liścieniami; że dzielą się na trzy podziały: **Bezpłatkowe**, **Jednopłatkowe** i **Wielopłatkowe**, oraz że bezpłatkowe pójdą naprzód.

Zapytałem Violi czy te rośliny nie kwitną wcale, bo przecież kwiat nie może być bez płatków.

— One też mają płatki — odpowiedział — a nazywają się bezpłatkowemi dla tego, że płatki ich kwiatów są zielonkawe, bardzo niewyraźne. Na czele idzie rodzina *miseczkowatych*, tak nazwana dla tego, że kielich jój zrasta się w miseczkę.

Wyglądałem ciekawym tój szanownej familii z miseczkami, a tu idą dęby zwyczajne i korkowe, buki, leszczyna, kasztany słodkie.

— No — pomyślałem sobie — jak też to ja dotąd żyłem bezmyślnie, że choć w lesie naszym w Dębowej Woli, by-



Na szczycie Białe - Góry.

pach żniwarze i żniwiarki, w malowniczych kostiumach wieśniaków atlantyjskich, trzymając błyszczące sierpy w rękach. Dalej niesiono wspaniałe *palmy*: kokosowe, daktylowe, wachlarzowate, woskowe, bananowe i wiele innych, słowem cały las zwrotnikowy, jakby przez burzę lekko naprzód pochylony, a ludzie niosący je, wyglądali, jak gdyby szli pod olbrzymimi parasolami. Ukazała się z kolei rodzina *lilijowatych*, w której pochodzie uczestniczyły córki najznakomitszych rodzin atlantyjskich. Wiele z nich znałem osobiście z przyjęć i balów dworskich. Dziewice te białe ubrane, z wieńcami zielonemi na głowach i rozpuszczonemi włosami, szły niosąc w rękach lilije białe, różowe, szkarłatne, złociste, zawojki i tulipany najrozmaitszych kolorów, lilije wodne i kosańce. Za niemi luźnie w dziwaczne i fantastyczne postrojenia szaty, nieśli również dziwaczną rodzinę *storczykowatych*, w których dopatrzyć można było podobieństwo nietylko do zwierząt, owadów, ptaków, ale nawet do różnych przedmiotów. Pierwszy raz wtedy ujrzałem wanilię, pnącą roślinę, długie zwieszającą strączki; pokazał mi ją Viola.

ło bardzo wiele tych drzew, nigdy nie zastanawiałem się nad kształtem ich kielicha i nie spostrzegłem jego miseczek. Ale oto nadchodzi inna rodzina, *brzozowate*, a więc brzozy białe i olchy; *wierzbowate*, a więc nasze poczciwe wierzby w licznych gatunkach, wyniosłe topole i drżąca osina; *pokrzywowate*, a więc pokrzywy, konopie, chmiel; *rdestowate*, a więc gryka z której taka wyborna bywa kasza do zrazów i szczaw, z którego taka doskonała robi się zupa.

— Janku—odezwał się Viola—teraz pójdą **jednopłatkowe**. Cecha ich główna ta, że mają płatki zrosnięte w jedną rurkę, ale nie trzeba ci tego mówić bo je znasz przecież.

Istotnie, wiele z nich było mi dobrze znanych, jak na przykład idąca na czele rodzina *pierwiosnkowatych*. Za to z widzenia tylko znałem *wrzosowate*, do których należą śliczne różowe i białe wrzosa, a z wyborynych owoców borówki, czarne jagody, żórawiny. Poznałem niedawno *wargowe* i *maskowe*. *Psiankowatych*, choć bardzo lubię kartofle, nie znam bliżej; roślina to ponura, trująca, i powierzchowność jój nawet podejrzenie wygląda. Jagodami kartofla struć się można, choć



Nieprzewidziane niebezpieczeństwo.

bulwy jego jadamy. Do psiankowatych należy pomidor, którego liście i korzenie trują, choć owoc jest wyborny; do nich jak teraz się przekonałem, zalicza się tytoń, wilcza jagoda, pieprz turecki, bieluń i lubek. *Ogórecznikowate* poznałem także na Atlantycie; o *marzannowatych* słyszałem, że były kiedyś używane przy obrzędach religijnych u Słowian. Roślina to pożyteczna, jak mi szepnął Viola, bo korzeń jęj daje farbę czerwoną. *Złożone*, te znam doskonale i pisałem o nich w moich listach; *gorzyczkowate*, znam tylko z ich sławy lekarskiej i prześlicznych kwiatów, z których szafronowe są najpiękniejsze, jak również *powojowate* obejmujące powoje różnych kolorów, wdzięczne kwiatki, nie lubiące zbyt wielkiego żaru słońca zamykające zawsze w południe swoje kielichy.

— Uważaj Janku!... idzie ostatni oddział roślin, wie-

loplatkowe — rzekł Viola — tych każdy płatek jest oddzielny i dla tego je tak nazwano. Na czele idą *jaskrowate*. Nie znasz wprawdzie ich wewnętrznej budowy, ale znasz doskonale z widzenia te śliczne złote jaskry, których tak wiele spotyka się na łące i które nazywasz rozsypanemi po łące dukatami. Widziałeś też nieraz trujące tojadę, zwane pantofelkami Matki Boskiej, ostróżkę, orlik i sasanki. Ale te co zaraz za nimi postępują, znasz gruntownie: oto *goździkowate*, *krzyżowate*, *maskowate*, *grzybieniwate*, *bodziszkowate*, *śluzowate*, *motylikowate*, *baldaszkowate*; a teraz ukazuje się korona całego pochodu, *różowate*!

Do niesienia roślin tęj wspaniałej rodziny, jak poprzednio do liliowatych, powołano odzież płci obojga najszlachetniejszych rodzin Atlanty. Dziewice w szatach zastosowanych do

koloru kwiatów, niosły róże najrozmaitszych gatunków, najrozmaitszych odcieni barw: białe, szkarłatne, blade i ciemno różowe, żółte i prawie czarne, a młodzieńcy nieśli drzewa owocowe, jabłonie, grusze, śliwy, brzoskwinie, wiśnie, pigwy, tarńnię, uginające się pod ciężarem dojrzałych owoców, zwłaszcza złotych i czerwonych jabłek—istny sad owocowy. Jeżeli liliowate obudziły ogólny zachwyty, to te powszechny wywołały entuzjazm. Bożydar pierwszy złożył ręce do okłasków, które też posypały się rzęsiście.

Pochód królestwa roślin ciągnął się daleko dłużej niż minerałów, choć przedstawione w nim były tylko głównejsze typy — bo też państwo Zielonki ludniejsze jest od państwa Kryształka. Dotąd naliczono podobno pół miliona gatunków roślin.

— Jakże, milordzie, czy i ten widok pana nie porusza? — spytałem w czasie pochodu róż.

— Nic a nic. Ale, ale — dodał ze skrzywieniem mającym wyobrazić wdzięczny uśmiech—mam do kolegi prośbę.

— Prośbę? jaką milordzie?

— Abyś mi wyrobił u Wieczorów Rodziny order Pończochy.

O mało nie parsknąłem mu w oczy śmiechem.

— Kto milordowi powiedział o istnieniu takiego orderu?

— Kapitan Tamarix, z którym się dziś przed samem rozpoczęciem uroczystości widziałem. Oświadczyłem mu właśnie moją chęć jechania do Europy na pokładzie Narcyza, razem z kolegą. Od niego dowiedziałem się że taki order istnieje i że kolega możesz mi go wpływem swoim wyrobić, a pragnąłbym go bardzo posiadać, bo jako kawaler orderu Podwiązki, mógłbym oba razem połączyć. Byłby to oryginalny komplet, a ja jestem amatorem kompletów. W zamku moim How do you do, w południowej Walii, mam różne cenne zbiory: zbiór szpilek podwójnych używanych od początku świata, zbiór sznurowadeł z różnych epok i guzików, i wyznaję koledze, że radbym posiadać order z kraju o którym nie wie Bedecker. Ja natomiast postarałbym się u rządu angielskiego wyjednać Wieczorom korzyści, jakieby uważały za pożądane dla siebie.

Nie wiedziałem czy się mam śmiać, czy gniewać, bo nikt nigdy zgadnąć nie mógł kiedy dostojny lord żartuje a kiedy mówi prawdę, z tak niezachwianą wygłaszał wszystko powaga. W tem Albatros przedarł się do mnie, wołając:

— Janku, patrz, zaczyna się pochód królestwa zwierząt!

Zwróciłem wzrok na plac. Stał tam już herold Pióropuszką ustrojony w aksamit i pióra, a chorągiew z czarnym sokołem na zielonem polu, kołysała się w jego ręku. Obwieścił on tonem równie uroczystym jak jego poprzednicy, że z woli Jego Królewiczowskiej Mości Pióropuszką, z pozwolenia Najjaśniejszego Bożydara, rozpocznie się pochód królestwa zwierząt; że widzowie ujrzą dwie wielkie grupy, bezkręgowych i kręgowych, oraz że bezkręgowce pójdą naprzód.

(d. c. n.)

Na szczycie Białogóry.

Dłuższe badania meteorologiczne na szczycie Białogóry, (Mont-Blanc) uważanej dawniej za najwyższą z gór alpejskich, jakkolwiek zaciekały uczonych, zdawały się dotąd niepodobnymi dla nadzwyczajnego zimna, w którym nikt nie mógł przebywać wśród niedostępnych lodowców. Wybudowanie tam schroniska, przedstawiało niebywałe trudności do pokonania, musiano się więc zadawać krótkim jedynie pobytem w tej krainie wiecznej zimy. Obecnie dopiero śmiały francuski uczyony Vallot, wniósł tam prawdziwie wygodny dom drewniany, opatrzone piecami i wszelkimi innymi potrzebami zabezpieczającymi od zimna, w którym meteorologowie mogą bez przeszkody oddawać się uczonym badaniom swoim. Aby dać wyobrażenie o trudach przy wzniesieniu podobnego schroniska, dość powiedzieć że belki równie jak wszel-

kie inne materiały budowlane, musiano wnosić na plecach, przepawiając się przez niedostępne ścieżki, wśród których niejedyn śmiały podróżnik śmierć poniósł spadając w przepaść. Mieszkańcy sąsiedniej doliny Chamouni, długi czas sądzili iż Mont-Blanc zamieszkuje duch złośliwy, który pożera ludzi. Przekonani byli również że na tej wysokości z powodu wielkiego zimna, woda zawrzeć nie może przy rozpalonym ogniu, gdyż ogień ten wcale nie grzeje, dopiero jeden z uczonych, poprzednik Vallot'a, dotarłszy tam z płócienym namiotem, w którym noc całą przepędził, przekonał ich, że śnieg tameczny można stopić przy ogniu jak każdy inny, a następnie otrzymaną z niego wodę gotować. Obecnie inni uczeni zamierzają wybudować na górze Mont-Blanc obserwatorium astronomiczne, uzyskawszy na to odpowiednie kapitały od ludzi możnych wspierających ich w tem przedsięwzięciu. Niemal w tym razie jest pomocą dom p. Vallot'a, w którym tymczasowo zamieszkuje.

LETNI WIECZÓR.

Drzemią sierpy w komorze,
Pomrok zapadł — noc bliska,
A dziewczeczki tam hoże
Tańczą wkoło ogniska.

Ptak do gniazda się chowa,
Lasy, pola już głuchną,
Tylko zorza czerwocowa,
Świeci ziemi bledziuchno.

Przez tumany, mgły ciemne,
Na przestrzeni szerokiej,
Wkoło widzę tajemne
Płasających podskoki.

Gdy dziewczątka urocze,
Wiotką kibić przechyla,
Z bark chusteczka furkocze,
Jak skrzydełko motyla.

Pieśń radosnym brzmi chórem,
Iskra iskry potrąca,
Błysk na niebie ponurem
Sierp srebrzysty miesiąca.

Stoją chłopcy na boku
W jedno grono skupieni,
Przyspiewują w pomroku
Jak rój brząających szerszeni.

O kij wsparta babina,
Wlecz kroki powoli,
Tęskno w duszy wspomina
Dnie dziecięcęj swawoli.

A nietoperz co z wieży
Na świat nocą zbiegł czarną,
Spłoszon pieśnią młodzieży,
Mknie w kryjówkę cmentarną.

Póki starczy płomieni,
Płasaj dziatwo szczęśliwa,
Gdy brzask niebo zrumieni,
Pójdiesz z sierpem do żniwa.

S. D.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— Rozumne, bardzo rozumne postanowienie—rzekła miss Oliwia przejęta właściwym Anglikiem poszanowaniem prawa.—Przystać na złożenie okupu, to znaczy uznać bezsilność rzą-

du, prawa, władz strzegących bezpieczeństwa mienia i osoby mieszkańców. Bardzo dobrze czyni twój ojciec, Luciu... A pan jakiego jesteś zdania, don Leonie?

— Ja? — odparł młody człowiek. — Przedewszystkiem potrzebuję wiedzieć komu pani zadaje pytanie, czy wychowawcowi europejskich uniwersytetów, obeznanemu z tym porządkiem rzeczy, jaki w cywilizowanych społeczeństwach istnieje, czy też synowi tutejszego kraju, zrodzonemu wśród dziewiczych lasów Ameryki środkowej.

— Dla czegoż mi pan stawiasz to dziwne pytanie?

— Bo od odpowiedzi pani zależy też i moja. Człowiek cywilizowanego społeczeństwa obowiązany jest ufać prawu, bo wie że jest ono dość mocne by go zastąpić w razie potrzeby. Tu jednak prawo nie zawsze wystarcza...

— Więc dałbyś pan okup! — wykrzyknęła miss Oliwia tak niewymownie zgorziona, że zapomniawszy o wszelkich przepisach przyzwoitości towarzyskiej, przerwała mówiącemu w pół zdania.

— Dałbym bez wahania! — odparł don Leon.

— Ja także dałabym okup! — zawołała Lucia, w milczeniu dotychczas słuchająca rozmowy. — Dałabym okupu ile zechcę, niechby tylko Józia oddali. Więcej powiem... zrobiłabym tak jak radzi p. Tadeusz: odesłałabym żandarmów, wzięłabym Indyan i kazałabym się prowadzić Morillowi. Pewna jestem, że znalazłby Józia zaraz.

— Luciu! — upomniwała ją miss Oliwia — czy też pomyślałaś o tem, że złożeniem okupu uprawniałabyś niejako bezprawie, jakiego się dopuścili opryszkowie? Jakto? oni porwują syna rodzinie, a rodzina zamiast ich ukarać płaci im za oddanie porwanego dziecka?

— Z europejskiego punktu widzenia ma pani słusność zupełną...

— Ale z naszego — podchwyciła Lucia — z naszego *rodzinnego*... nie! Józio bliżej nas obchodzi niż prawo...

Miss Oliwia oburzeniem przejęta, zabierała się do odpowiedzi, mającęj zbić błędne w samą rzecz rozumowanie Lucii. Właściwie mówiąc, nie było ono nawet rozumowaniem było tylko argumentem przez serce podyktowanym i 'dobrze wyraziła się Lucia mówiąc „z naszego rodzinnego stanowiska...” bo z tego jednego tylko można było przyznać jej słusność. Dzieweczka mało dotychczas obeznana z urządzeniami społecznymi, przeważnie sercem się rządząca, uważała za rzecz słuszną to, co kobiecie przejętej poszanowaniem dla prawa, wydawało się zdrożną słabością. Byłoby się więc zaniosło pomiędzy nimi na dyskusję raczej, niż na wykład, ale na szczęście, z altany, w której toczyła się powyższa rozmowa ujrano nadchodzącą babkę. Obok staruszki biegły w podskokach bliźniaczki, które wtedy najszczęśliwszemi się czuły, gdy Lucia wzięwszy je za rączki, opowiadała im o ojcu lub bracie.

— To braciszek Józio bardzo już duży? — pytała Inez pieszczoną, dziecinną mową.

— Duży, taki prawie jak dziaduś — niewiedomo po który już raz odpowiadała Lucia.

— Ale nie taki stary jak dziaduś i *nino Leon*? — z pewnym niepokojem pytała druga mała ciekawska.

— Dobra sobie! — oburzył się don Leon, chwytając na ręce małą pieszczotkę, której z pod ogromnych skrzydeł kapelusza nie widać prawie było buzi — to ja jestem taki stary jak dziaduś? Kto ci to powiedział?

— Lucia! — tłumaczyła się dziewczynka. — Ja chciałam, żeby *nino* wsadził Morillinę do wózka lalki, a Lucia powiedziała, że takie zabawki to dobre dla nas, ale nie dla starszych.

— A babcia zawsze nam mówi to samo, jak *wołamy* dziadusia żeby się z nami bawił — dodała Marita która miała sobie za obowiązek potwierdzać zawsze słowa siostry.

— Paradne są te małe! — wołał, śmiejąc się don Leon — więc dla tego że się z wami nie bawię, to mam być taki stary jak dziaduś?

— A pewnie! — jednozgodnie przyznały obie.

— No, to chodźcie, przekonam was, czym już taki bar-

dzo stary! — zaproponował don Leon i puścił się pędem wzdłuż alei, a za nim ze śmiechem i wesołemi okrzykami pobiegły dziewczynki, których różowe sukienki i ogromne ze złotawej trawy tamtejszej kapelusze, czyniły podobnemi do jakichś fantastycznych pół-kwiatów, a pół-ptaków.

— Ojciec twój pisząc do nas, nie oznaczył jeszcze epoki przybycia — odezwała się staruszka — spodziewam się, że nie będzie go odkładał długo. Starzy jesteśmy oboje i szkoda nam każdego dnia straconego bez Józia... Tak nam pilno raz przecie się nim nacieszyć!

— A mnie to już babcia ma dosyć? — pieszczotliwie zagadnęła Lucia, chcąc odwrócić rozmowę od drażliwego przedmiotu. Udało jej się zająć babkę sobą i rozproszyć niepokój, jaki ogarnął staruszkę, ale znalazłszy się sama, uczuła się nad wyraz przygnębioną. Mój Boże! co się tam z nimi dzieje? Ojciec tak ufa żandarmom... czy też pomoc ich okaże się skuteczną?... A może *Patrizios* rozdrążnieni tą obławą, jaką ojciec na nich urządza, zemszczą się na Józiu?... Może stracimy nadzieję okupu, zamordują swego jeńca...

Najsmutniejsze myśli krążyły po głowie biednej Luci. Do czarnego jej usposobienia przyczyniła się może mimo jej woli wiadomość, o której dziś szeroko i z pewnym niepokojem mówiono przy obiedzie. Jak wiadomo, rząd francuski utrzymuje w Gwyanie kolonie karne, które zasila coraz to nowemi transportami złoczyńców wysyłanych z Francji. Zdarza się często, że kilku lub nawet i więcej tych niebezpiecznych sąsiadów zbiegnie z miejsca, w którym pobyt im przeznaczono i pładruje po okolicy, zbrodniami i rabunkiem znacząc ślad swego przejścia.

Taki właśnie wypadek i teraz miał miejsce. Do *Mon-Avoir* doszła niepokojąca wiadomość, że sześciu śmiałych, na wszystko się ważących zesłańców, których przełożone nad nimi władze uznawały za najniebezpieczniejszych, zdołało zbiedz z najbliższej położonej karnej osady i że pomimo energicznych poszukiwań nie ujęto ich dotąd, a nawet nie natrafiono jeszcze na ich ślady.

Lucia niedostatecznie zdając sobie sprawę z kwestyi, którą mieszkańcy miejscowi uważali za wielce groźną, słuchała z roztargnieniem opowiadania, nieprzypuszczając zapewne, aby ludnej i kwitnącej osadzie zagrażać mogła nieliczna garstka ludzi, zmuszonych myśleć przedewszystkiem o własnym ocaleniu.

W samą rzecz, gdziekolwiek okiem rzucić, wszędzie widać z trzcin plecione chaty murzynów, pracujących przy zbieraniu soku kauczukowego, obszerniejsze trochę i wyższe od nich domki Indyan-krajowców, którzy z rodzinami swemi pozostają w służbie „białych państwa”, jak ogólnie nazywają pp. Valmés. Wszystkie zaś te mieszkania, wraz z ogródkami swemi i zabudowaniami gospodarskimi, jakie każde z nich posiada, otaczają szerokim kołem piękne i obszerne domostwo, które Lucia zaczyna już uważać za dom własny. Osada, jak miasteczko ludna, a od niejednej mieściny rozmiarami obszerniejsza, wydaje się być wybornie zabezpieczoną od napaści, to też Lucia nie wie czemu przypisać wrzawę, która podnosi się nagle w najodleglejszym krańcu osady. Nad tą wrzawą, która rośnie z każdą chwilą, a zdaje się być złożoną z jęków, płaczów, okrzyków trwogi i bólu, górują odzywające się chwilami wystrzały; nieliczne, przerywane, niezdolne są widocznie usunąć powód trwogi, która w rozpacz i żalność przechodząc, coraz głośniejszym lamentem napełnia ciche aleje ogrodu.

Lucia przestraszona biegnie czempredź ku domowi i staje na werendzie w chwili, kiedy ogromnego wzrostu murzyn, blady tak, jak pod wpływem gwałtownego wzruszenia zblednął jest w stanie murzyn, to jest prawie popielaty na twarzy, jednym susem przebywa schody prowadzące z ogrodu na werendę i skrwawiony, zdyszany, urywanym woła głosem:

— Panie... panie... źli biali! Spalili *karbet* *) nad

*) Tak murzyni nazywają całe obejście gospodarskie, które u nas nosi nazwę folwarku.

zatoką, uprowadził byłoby i zabili mi brata... Panie! biały panie!

„Biały pan” posłyszawszy te słowa zrywa się z miejsca jak młodzieniec. *Zli biali*, to nikt inny jak zbiegli złoczyńcy! Innych białych niema tu wcale. Trzeba więc przedsięwziąć środki obrony, trzeba przede wszystkim wypytać o szczegóły kłeski, której zwiastunem jest ranny murzyn, ale Lomi wycierpany przestraczem, krwi utratą i szybkim biegiem, ślania się, chwieje, i mimo atletycznej swojej postawy, pada zemdłony na maty, zaścielejące podłogę werendy.

Niebawem jednak przyszedł do siebie. „Biała pani”, miss Oliwia, Lucia spieszą mu na pomoc, trzeźwią, pokrzepiają winem i po niedługim czasie zbieleńcami jeszcze usta opowiada im Lomi, że wraz z całą prawie męską ludnością osady, wyszedł od rana w pole dla zbierania soku z drzew kauczukowych, że posłyszawszy monotony, nosowy odgłos *hokko*, ukrytego w gęstwinie gałęzi, powracał na chwilę do *karbetu* po znajdującą się tam strzelbę, gdy wtem poczuł dym.. Przyspieszył więc kroku i wybiegłszy z lasu, ujrzał *karbet* w płomieniach, a wśród objętych już ogniem budynków uwijali się uzbrojeni w karabiny i noże ludzie biali...

— Ilu ich było? — przerywa don Leon, który znajdując się w przeciwnym krańcu ogrodu, przybiegł na odgłos wrzawy, aż do niego dochodzącej,

Na to pytanie Lomi odpowiedzieć nie może. Nie rachował... nie wie... Kilku, kilkunastu może... Wie tylko, że to byli biali, a między nimi i mulaci, że z nieludzkim wraskiem rzucili się na niego i zranili go w ramię, po czym on uciekać zaczął do pana i pędząc na oślep, potknął się o leżące na ziemi [ciało... Nachylił się wtedy, by spojrzeć w twarz leżącemu i poznał brata swego Kassybę... We krwi broczy i znaku życia nie daje... Karbet cały z dymem już poszedł, bo mężczyzn niema w osadzie, a kobiety krzyczeć tylko i płakać umieją, lecz nie od pożaru ratować...

— Mniejsza o karbet — przerywa „biały pan”, którego zimna krew i spokój dodają odwagi przytomnym — trzeba się dowiedzieć przede wszystkim co się dzieje z Kassybą. Jeżeli żyje, niech go tu natychmiast przeniosą... Ludzi zawołać trzeba i w pogoń się puścić za łotrami.

I przytknąwszy do ust ogromny róg bawoli, zawieszony u jednego ze słupów, podtrzymujących dach werendy, p. Valmès wydobywa z niej ostry i przeciągły dźwięk, który jest hasłem wzywającym robotników do powrotu. Odwołani od roboty przed czasem zbiegają się śpiesznie, a „Biały pan” zna tak wybornie całą armię pod rozkazami jego służącą, że bez zawahania się wywołuje nazwiska dwunastu ludzi, którym oznajmia że towarzyszyć mu będą w pościgu i każe im biedzą po broń czempredź, a potem uszykować się przed werendą.

W mgnieniu oka wracają wybrani: murzyni mają strzelby, Indianie *sarbakany* swoje. Biały pan chwycił za karabinek najnowszego systemu, dalekonośny a lekki, mały i jak cacko lśniący a zgrabny, drugi taki sam daje don Leonowi, obaj biorą rewolwery i noże, manierki z *tafią*, a oprócz tego wsuwa p. Valmès do bocznej kieszeni ubrania pugilares zawierający busolę, apteczkę kieszonkową, nie gasnącą na wie-

trze zapalki i zleciwszy opiekę nad rodziną swoją i mieniem staremu jak on Indyaninowi, z którym od lat dziecińczych wspólnie wychowywał, krótko i spokojnie żegnał rodzinę.

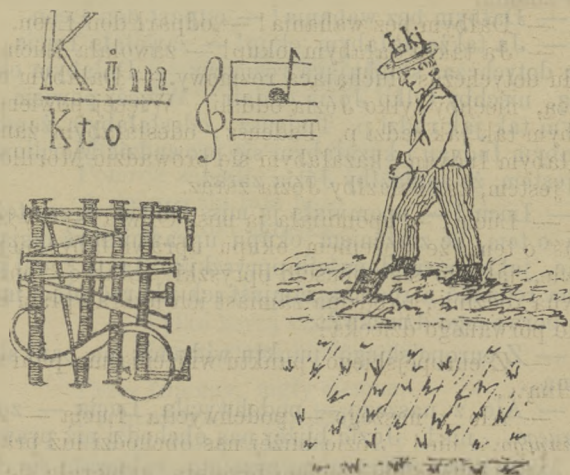
(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze, drugie znajdziecie między ptakami;
Trzecie liczba, Egiptu król czwarte piąte;
Wszystko w dziejach mąż, który z Messeńczykami
Idąc, w boju pokonać zamierzał Spartę.*

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Zadania konikowego:

Zdarza się kochane dzieci,
Gdy wieść dąży wartkiem kołem,
Że słowo ptaszkiem wyleci,
A powraca do nas wołem.

Kłamstwo czyni wiele złego!
Ileż trudu i mozołu,
Aby w ptaszka znów małego,
Ogromnego zmienić wołu!

Ewa Marya.

Rebusu: Kto nie czuje swój godności, wiele traci na wartości.

Prenumeratorem kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Lalki chińskie (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Na szczycie Białogóry (z drzew.) — Nieprzewidziane niebezpieczeństwo drzeworyt. — Letni wieczór, wiersz p. S. D. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kapryśna Hela (z drzew.) — Królki p. A. M. (z drzew.) — Dla mamy wiersz p. Helenę Bojarską. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



Kapryśna Hela.

Julek i Zosia bawili się na łączce pod dozorem starszej siostrzyczki Mani, która robiąc robotkę, pilną zwracała uwagę na małe rodzeństwo. Coprawda, niewiele też miała kłopotu, bo dzieci były bardzo grzeczne. Rwały drobne polne kwiatki, układały z nich wieńce, budowały domki z kamyków, ogradzają je płotkami z patyczków. Wesołe były i zadowolone. Wtem od strony drogi spostrzegły przybywających gości.

— Maniu! — zawołał Julek — patrz, przyjechała Helenka! Idzie tu z boną!

— Ach, Helenka! — westchnęła Zosia — zepsuje nam zabawę; taka kapryśna!

— Wstydź się Zosiu! — rzekła Mania — powinnaś się cieszyć z przybycia krewnej! Prawda, że jest ona kapryśna, ale też jest jeszcze małą, trzeba jej to wybaczyć.

Bona Helenki zostawiła ją pod opieką Maryni i obiecała przyjść po nią za parę godzin. Marynia złożyła robotkę i poszła się bawić z dziećmi.

— Patrz, Helu, co za śliczny domek wystawiłem! — rzekł Julek. — Powtykam jeszcze wkoło gałązek, to będzie ogród...

— Piękny mi domek! — rzekła pogardliwie Helenka. — A gdzie okienka? a gdzie dach?

— No widzisz, trudno w takim małym porobić okienka; są drzwi, to będzie dosyć jasno. Ale dach? Postawię ostrożnie te dwa płaskie kamyki, to będzie spadzisty dach.

Po długich usiłowaniach udało mu się wreszcie.

— O! mocny będzie ten dach! O! trączę tylko... I swawolna dziewczynka jednym uderzeniem nóżki zburzyła mozolną pracę Julka.

— O! jakaś ty niedobra! — zawołał chłopczyk.

— Bo ja nie chcę bawić się w takie brzydkie domki! chodźmy zbierać kwiatki!

Julek choć był zmartwiony, poszedł za Helą, bo nie chciał jej się sprzeciwić. Zaczęli zbierać małe polne bratki i dzikie gwoźdźki.

— Ależ tu wszystkie kwiatki jednakowe! — zawołała Hela — takie brzydkie! Nie warto zbierać!

— Owszem; zobaczysz jaki śliczny z nich zrobimy wieniec, zaawiesz go swojej mamusi.

— Ach, prawda, jakby to było dobrze! Ale kiedy to nudno zbierać kwiatki, chodźmy pobiegać!

— Dobrze. Kto prędzej dobiegnie do tego drzewa, co z drugiej strony widzisz. Całe okryte jest białymi kwiatami.

— Widzę! Jakież to śliczne! Ja chcę tych kwiatków.

— Nie można ich zerwać, bo są wysoko. Nie dostaniesz.

— Kiedyż ja chcę koniecznie! — I to mówiąc, Hela podbiegła do drzewka i zaczęła wspinać się po płocie.

— Ależ dziecko, sukienkę podrzesz! Masz tyle kwiatków, poco ci tamte?

— Ja chcę tamtych! Te są brzydkie — wołała Hela, rzucając na ziemię wszystkie zerwane kwiatki.

Marynia widząc, że nie uspokoi małej kapryśnicy, chciała jej już dogodzić. Wzięła ją zatem na ręce i podsadziła do góry, ale to było jeszcze za nisko. Dziewczynka daremnie wyciągała rączki, chwyciła za końce gałązek, nie mogła dostać kwiatków. Zaczęła płakać.

— Jakże nierozsądną jesteś Helciu — rzekła Marynia — zachciewa ci się czegoś niepodobnego do dostania, i zamiast bawić się i korzystać z wakacyi, płaczesz i martwisz się nadaremnie.

Ale Hela nie słuchała. Wynałazła kij i chciała nim ułamać gałązkę z kwiatami; naturalnie nie udało się to, i dziewczynka płakała dopóki nie przyszła po nią bona.

— Ach, co za szczęście że już poszła! — rzekł Julek. — Sama się nie bawi i drugim psuje zabawę.

— Tak zawsze się dzieje, mój Julku, gdy nie umiemy zadowolnić się tem co posiadamy, a pragniemy koniecznie coraz nowych rzeczy. Bawiliście się przecież wybornie na łączce; gdyby Heli nie zachciało się kwiatków z drzewa, byłaby się równie dobrze i wesoło zaba-

wiła, a tak napłakała się tylko i namęczyła. Skorzystajcie z téj nauczki dzieci, i pamiętajcie o przysłowiu:

Ten pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swoim.



KRÓLIKI.

W małym ogródku Kazi żyły sobie trzy króliki długouchy, pokryte futerkiem białym w czarne łatki. Pewnego dnia skoro słońce oświeciło ziemię, wnet najstarszy królik jak zwykle otworzył oczy i wyskoczył z nory w ziemi wykopanej, na grządkę ogródka. Za nim dwa pozostałe króliki, przeciągnęły się także raz i drugi i na Boży świat wyrzwały. Ciepło, miło było pod błękitnym niebem, to też króliki hasać po ogródku zaczęły, że zaś miały, tak jak zające, nogi tylne znacznie od przednich dłuższe, więc też łatwiej było im skakać niż biegać; skakały tedy jedne przed drugimi, przewracały się po miękkiej trawie, od czasu do czasu jeden z nich jakby dla odpoczynku przysiadł na tylnych łapkach, by potem śmielsze jeszcze kozły wywracać. Nieraz też skubnął który trochę trawy; trochę tylko, bo króliki wiedziały, że ich mała właścicielka, Kazia, przyniesie im niedługo śniadanie. Takie doskonałe śniadanie! Posłuchajcie tylko! najpierw listki młodej kapusty, potem smaczną, żółtą marchewkę, może główkę sałaty. Czegoż więc królikom potrzeba? Lecz nie myślcie, żeby króliki nic już do roboty nie miały i dzień cały skakały tylko i jadły, jak to się nieraz i dzieciom małym zdarza; nie! właśnie dnia tego, po śniadaniu, w którym marchew zastąpiła dziś pietruszka, króliki postanowiły wykopać sobie nową norę, bo ta która dotąd za mieszkanie im służyła, była za małą i trochę wilgotną, deszcze do niej ze ścieżki spływały.

Zabrały się więc zwierzątka do roboty. Znalazły w samym rogu ogródka bardzo stosowne zdaje się miejsce, trochę wzniesione o jeden skok odległości od gruszy, która spory cień wokoło rzucała. Łopatką ani też rydłem króliki posłużyć się nie umieją; zaczęły więc drapać ziemię przednimi łapkami, które, zauważcie to sobie, zakończone są pięcioma palcami, a zaś tylne czterema tylko; drapały więc i pomagały sobie też pyszczkami, rwąc trawę; aż tu słońko wysoko już stanęło na

niebie i tak przygrzało, że króliki zmęczone pociągnęły do dawniej nory na odpoczynek, i koło tejże nory Kazia położyła im znów obiad z liści buraczanych złożony. Kazia wiedziała że zagranicą często zabijają króliki i jedzą je w potrawce, że nawet w Australii tyle jest królików, że aż pola i łąki niszczą kopiąc nory i zjadając liście zasianych roślin, więc je tam tępią nielitościwie, lecz swoich trzech królików nigdy zabić by nie dała. Wszak tyle już razy jadły z jój ręki, tyle uciechy sprawiały jój goniąc się po ogródku, lub też za lada niespodziewanym szelestem wpadając do nory. Króliki tak jak i zające bardzo są tchórzliwe, bo ani zębów ani pazurów ostrych nie mają, i wiedzą że tylko w ucieczce ich obrona przed psem gończym, chytrym lisem lub krwiożerczym wilkiem.

A. M.

DLA MAMY.

Są tam na łące
Kwiatki pachnące,
Z nich zbieramy
Bukiet dla mamy.
Są w naszym borze
Jagódki może...
Gdy co znajdziemy
Jój zaniemy.
O! gdy w niedzielę
Będziem w kościele
Za mamę szczerze
Zmówim pacierze.
Bóg wielki z nieba
Da co potrzeba
Gdy dobre dziatki
Proszą dla matki.

Helena Bojarska.

MOJE DZIECI,

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY

P. A. DO.

(Dalszy ciąg).

Po południu nadciągnęły czarne chmury, zaczęło grzmieć i błyskać, wybuchła burza z gradem i piorunami. Parę minut zaledwie grad padał, a mimo to ścieżki w ogrodzie bieluteńkie były, jakby w zimie. Dzieci wybiegły z talerzykami przed dom, nazbierały lodowych kulek, i częstowano się niby angielskimi cukierkami, robiono nawet lody, bo wujenka dała cukru i soku wiśniowego, słowem, była uczta nielada. Resztę dnia trzeba już było pozostać w pokoju, po burzy bowiem nie wyszło tak prędko; Lili delikatna bardzo mogła się łatwo zakatarzyć, Staś także kaszlał trochę, wszyscy więc bawili się w jadalnym pokoju, gdzie najwięcej miejsca mieli do biegania. Urządzono gonitwy naokoło stołu, ale Staś swoim zwyczajem, kilka kroków zaledwie ubiegłszy, uderzył głową o kredens i guza nabił na czole; Michaś litością wiedziony porwał szklanę z wodą... lecz nim

ją doniósł, brzdęknął jak długi na ziemię, wodę wylał, szklanekę stłukł na drobne kawałki, szczęście jeszcze, że się nie pokaleczył.

Obie mamy wbiegły na ten hałas do pokoju, ale widząc, że się nic bardzo złego nie stało, chciały odejść, zalecając tylko dzieciom spokojniejszą jaką zabawę. Jerzy zasłonił drzwi sobą i składając ręce jak do pacierza prosił gorąco:

- Niech się mamy z nami pobawią troszkę!
- Ach tak, tak! — zawtórowali wszyscy.
- Maryniu? Poświęćmy się!
- I owszem. W cóż chcecie się bawić?
- W dwuznaczniki.
- Kto pierwszy wyjdzie?

— Staś — rzekła mama — niech dowiedzie że choć niezgrabny i na gładkiej drodze się przewraca, do czegoś przecie potrafi być zręczny.

— Dobrze mamó... ale nie bardzo trudne słówko.

Po chwili przywołano Staśka, który sprytnie do Michasia prosto kroczył, wiedząc, że najmłodszy, najprędzej mu odpowiedzią swoją odgadnąć dopomoże.

- Czy to człowiek, czy zwierzę?
- W jednym znaczeniu zwierzę.
- Jak wygląda?
- Małe, czarne...
- Do czego służy?
- O proszę! Pytaj dalej; nie można tak jednego

ciągle męczyć.

- Helenko, czy to lubisz?
- HUU! nie!
- A w drugim znaczeniu?
- Co chwila to piekę.
- Aha! Rak, rak... zgadłem na Helence.
- Ale ja nie wyjdę, nie umiem zgadywać.
- No, to Jerzy. A jak zawołaamy „już” to przy-

chodź.

- Już, już, już!
 - Lili, czyś ty to widziała?
 - W jednym znaczeniu widziałam tego innóstwo, a w drugim jeszcze ni... a prawda! w Krakowie to widziałam.
 - Stasiu, czy to można jeść?
 - O nie... bo bardzo twarde.
 - Helenko, czy się to znajduje w Topolówce?
 - A jakże! W każdym pokoju.
 - Mamusiu! Niech mię mama ratuje bo nie zga-
- dnę. Na co się to przyda.
- Broni od złodziei.
 - A w drugim znaczeniu wujenczko?...
 - Służy również do obrony... ale całego kraju.
 - Aha! Wujenka emigruje! Zamek, zamek! zga-
- dłem przecie.

— Dla wujenki mamusiu, to trzeba coś okropnie trudnego... ach coby to!...

Mama szepnęła coś dzieciom do ucha, tłumacząc młodszemu znaczenie wyrazu; ale zwolniono je od odpowiedzi, bo dla nich było to zbyt trudnem.

— No, mój Jerzy — rzekła wchodząc wujenka — dzięki tobie muszę się trudzić, z namysłem powiedz mi za to, czy ja znam ten wyraz w obu znaczeniach?

— Każdy kto na wsi mieszka, często się z tem spotyka; drugie znaczenie... zdaje mi się, zna wujenka tylko z... uczynków.

— A... więc to sprzęt i człowiek, Lili?

— Tak mamó; narzędzie bardzo pożyteczne i człowiek bardzo zasłużony.

— Maryniu, czem pracuje ten człowiek?

— Piórem.

— A tego narzędzia... czy się używa w kobiecem gospodarstwie?

— Nie; do uprawy roli.

Michaś nie mogąc utrzymać języka za zębami, zaczął skakać na jednej nodze i śpiewać:

— Od—P. się zaczyna a na—g się kończy! O Boże! mama chyba umyślnie nie zgaduje.

— Pług?

— Tak, tak, tak!

Długo jeszcze bawiono się w dwuznaczniki, w przysłowia, w sekretarza, aż i wieczór nadszedł i po kolacyi dzieci chętnie spać poszły, ciesząc się na jutro nadzieją pogody.

ZAGADKA.

Dla Celinki od Maryni.

Pierwsze i trzecie zwierzątko małe,
Czasami bure, czasami białe,
Drugie — nie powiem, lecz nie szukaj wszędzie,
W biblii najłatwiej znaleźć go będzie.
Gdy wszystko ładnie ułożysz sobie,
Ot, co powiedzieć, chciałam ja tobie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Niezapominajka z Zacisza.

Z następujących sylab: Mar — for — den — e — ny — ren — osz — kli — wa — a — ne — peszt — wa — ta — bos — u — szów — mia — ri — ułożyć wyrazy: 1. Miasto na Węgrzech. 2. Imię żeńskie. 3. Rzeka wpadająca do morza Niemieckiego. 4. Rzeka w Rosyi. 5. Port w Arabii. 6. Imię żeńskie. 7. Cieśnina. 8. Nazwa kantonu w Szwajcaryi. 9. Miasto w gub. kiel. pamiętne bitwą z Karolem XII-tym. 10. Miasto w gub. kowieńskiej. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, złożą nazwę portu w Brazylii, końcowe zaś w tym samym kierunku nazwę miasta na wyspie Madagaskar.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go

Szarady: Mo — re — le.

Łamigłówki sylabowej:

1. Słowik. 2. Toledo. 3. Aden. 4. Nantes. 5. Ingolstadt. 6. Sahara. 7. Łopian. 8. Ametyst. 9. Wodorosty.
Stanisław — Konstanty.

Skrzynka do listów.

Nic nie mamy do przebaczenia **Zochnie Dz.** a cenić umiemy pracowitość, której dowód nam dała. Bardzo nam miło, że zamieszczane przez nas powieści tak się podobają czytelnikom naszym.

Dalsze numera wyprawimy pod adresem podanym nam przez Sz. P. Sok.; malutki **Mani** od siebie i **Gołąbki** przesyłamy uściśki serdeczne i prosimy aby częściej do nas pisała skoro już umie stawiać tak kształtne literki.

Srocza z nad Dniepru tak się szczerze przyznaje, że niedostatecznie jeszcze szyć umie, iż tem więcej cenimy staranność w jej robocie widoczną, a będącą dowodem że miła ptaszyna pragnie dobrze robić, co robi.

Nie, **Kuropatwo z nad Warty**, kto „dotrzymuje słowa” na tego „gniewać się” nie umiemy; a na pociechę w zmartwieniu, które musiało boleśnie dotknąć twoje młodziutkie serduszek, przesyłamy ci słowa współczucia. Dar Mamusi dla ubogiego dziecka przyjmujemy z wdzięcznością.

Pelagio i Leontyno Chm. wolelibyśmy dobrze uszytą koszulkę lub starannie i równo zrobioną pończochę niż źle napisane wiersze. Zawsze to powtarzamy naszym czytelnikom, iż nie należy zbyt wcześnie ujmować za pióro i brać za talent łatwość zestawiania wyrazów, bez wielkiego względu na to, czy są dobrze wybrane.

Z łatwością wyobrażamy sobie, jakiej obawy była przyczyną **Goryczka** dla rodziców. Chwała Bogu, że już wszystko dobrze, ale oczu bardzo, bardzo szanować trzeba, i z prawdziwym też w zruszeniem patrzymy na tę robótkę, o której mimo choroby pamiętałaś.

Odebraliśmy także roboty od **Sikorki z nad Utraty, Kropelki rosy i Myszk.** Tej ostatniej odpowiedź na jej pytanie przyniosły już dwa ostatnie numera.

Kwota przysłana przez **Błądą różyczkę** została oddaną na cel pierwotnie przeznaczony. Odpowiedź tyczącą się liściku znajdziesz w odpowiedzi do **Kuropatwy z nad Warty**; radzi nie radzi musiemy być pod tym względem nieublagani.

Kulce śniegowej dziękujemy za przysłany nam opis ślicznych miejscowości jakie oglądała. Zawsze nam miło gdy czytelnicy nasi dzielą się z nami wrażeniami, a podwójną nam to sprawia przyjemność, gdy umieją je opisać z tak malowniczą prostotą, dowodzącą szczerego przejęcia się widzianym przedmiotem.

Droga Złota Pszczółko! Dziękuję ci serdecznie za twe miłe liściki. Lubię bardzo muzykę. Czy masz rodzeństwo? ja niestety jestem jedynaczką. Kochana **Kometo!** nie mogę domyślić się kim jesteś. Donieś mi chociaż gdzie mieszkasz i czy mię znasz. **Jodełko z nad Noteci!** Ile masz lat i jak ci na imię? Co do mnie za niecałe pół roku zaliczoną zostaną do grona staruszek. **Gałązko Heliotropu,** nie mam twego adresu. Przesyła wam serdeczne uściśnienia **Kwiat lotosu.**

P. S. **Sarence z nad Bałtyku, Leśnej Konwalii, Różowej Jutrzence, Porankowi i Niezapominajce z nad Warty** łączę serdeczne pozdrowienia.

Kochana Świtezianko! Bardzo pragnę pisywać do ciebie. Jak się nazywasz i czy masz rodzeństwo? Jakiej autorki najlepiej lubisz książki? Czy zajmują cię losy **Dolores i listy,** „Z wyspy Atlanty”. Proszę cię odpisz prędko życzliwej ci **Kindze.**

P. S. **Libellę, Gołąbkę nad Wisły, Złotą Przędzę** całuję serdecznie. **Jakóbinę i Noc księżycową** proszę aby mi odpisały.

Kochany Listku Bzu! Długo ci nie odpisywałam dla braku czasu, którego miałam więcej dopiero w czasie wakacji. Jestem w twoim wieku, mieszkam w gub. podol., mam trzy siostry i dwóch braciszków. Jeśli chcesz możemy z sobą korespondować; serdeczne uściśnienia przesyła ci **Córa M.**

P. S. **Ciszy wieczorniej,** której pseudonym bardzo mi się podobał, zaszyłam pozdrowienia.

Kochana Płacząca Brzoza! Wiem i upodobania mamy zbliżone, więc sądzę że zechcesz korespondować ze mną? Bliższe wiadomości o mnie znajdziesz w Nr. 15 **Wieczorów.** Proszę cię donieść mi gdzie mieszkasz. **Milutka Topolko Srebrna, Gałązko Wrzosu, Złota Pszczółko i Zorzo Północna** chciałabym też samo wiedzieć o was i poznać was bliżej. **Złota Pszczółko,** czy nie jesteś czasem **Janiną Wik...**? **Topolko Srebrna,** jak przepędziłaś wakacje? bo ja nadzwyczaj wesoło i przyjemnie. Niedawno jeździłam zwiedzać pałac w **Wisniowcu** Jeżdżę też konno albo kucami z siostrą i bratem, który powozi. **Ścisła** was wszystkim serdecznie **Pokrzywa z nad Horynki.**

Drogie moje: Pokrzywo, Czeska Niezabudko, Figlarko, Gałązko Heliotropu, Trójkolorowa koteczko, Kingo i wy wszystkie, które kiedykolwiek do mnie pisałyście. Liściki wasze nadeszły gdy bawiłam w **Kijowie,** więc dopiero wróciwszy dziękuję wam za życzliwość, której dowody odbierałam przez lat 9 gdy prenumeruję **W. R. Pokrzywko** luba, i ja również niewielkiego jestem wzrostu. Raz jeszcze dziękuję za waszą życzliwość i żegnam was. Jako staruszka mam inne zajęcia, a więc brak mi czasu. Żegnajcie mi szczerze kochająca weteranka **Wieczorów Stokrotka z nad Stochodu.**

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Bardzo ubolewam nad ciosem jaki cię spotkał. Przepraszam że nie odpisywałam tak długo, lecz byłam bardzo zajęta nauką. Czy czytałaś „**Reginkę**” i „**Prawdziwe Bogactwo**”. Ja czytałam, podobało mi się bardzo. **Ścisła** cię serdecznie. **Niezabudka z nad Chonoru.**

P. S. **Bławatka z naz Horynia i Wiedenkę z Żywopłotu** zapytuję dla czego mi nie odpisały?

Czemu nie odpisujesz mi **droga Rosiczko?** To nie ładnie siostrzyczko! Czytam teraz „**Stacha z Konar**” a ty co? Tereni proszę aby mi odpisała, **Cichéj Wodzie i Białemu Motylkowi,** dzięki za listy. Czy to do mnie pisałaś w Nr. 15 **kochana Wróżbiarko** szczęścia? **Niezapominajkę z n. W.** proszę aby o mnie nie zapomniała. **Barwinku,** gdzie mieszkasz? O odpowiedzi prosi **Niezapominajka z Zacisza.**

O ile sędzić mogę z twego pseudonymu **kochana Pokrzywo** zdaje mi się że w jednej mieszkamy okolicy, jeżeli zatem zechcesz zapoznamy się bliżej. Podziwiałam twą odwagę w przygodzie z kucami, i przyznam ci się że czemś podobnym poszczycić się nie mogę. Proszę cię odpowiedz, czego się uczysz i co cię najwięcej zajmuje. Dziękuję ci **droga Świtezianko z nad Męciny,** za miły twój liścik, lecz jeszcze więcej byłabym zadowolona gdybyś my widywały się częściej. Wasza **Prymulka.**

Listy nasze kochany **Poranku** majowy mięły się w drodze. Na wasze pytania **Lilijko z nad Bzury i Bluszczu** donoszę, że temi czasy skończyłam lat jedenaście i na imię mi **Wanda.** **Czarnooką z Puszczy** zapewniam także o mej wzajemnej sympatii, a **lubéj Pracy** dziękuję za pamięć i proszę o wzajemne doniesienie jakie nosisz imię i wiele masz lat. **Gwiazdko na Zachodzie,** mieszkam w największym mieście w **Ameryce,** a méj **lubéj imienniczce Chmurce złocistej,** przebaczam z całego serca opóźnienie lecz niechaj się poprawi. Wszystkim razem pozdrowienia przesyła **Brzydotka z nad Tamizy.**

Kochana Czeska Niezabudko! Chętnie będę z tobą korespondowała; długie moje milczenie spowodował przykry dla mnie wyjazd siostry w dalekie strony. Obecnie jestem na wsi. Co lubisz robić najlepiej? ja czytać i grać. Proszę odpowiedz mi i pisuj do **Jesieni.**

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem, udziela lekcji rysunków, malowania, rzeźby pod kierunkiem artystów rzeźbiarza i malarza. W oddziale rękodzielniczym są lekcje sztuki stosowanej, oraz wszelkich rzemioł korzystnych dla kobiet. Szkoła przyjmuje pensyonarki dorosłe i małoletnie dziewczątka, dla których są oddzielne wykłady.